Robert Arnette (Rog Phillips)

Kwestia głupoty

(A Matter of Stupidity)

Amazing Stories, November 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Statek był ogromny, miał owalny kształt i przyleciał daleko spoza naszej galaktyki. Ekspedycja nie była wyprawą wojenną; po prostu, zwykłą pielgrzymką naukową, bystrookich istot z planety, na której rządził bóg zwany Inteligencją.

Pomieszczenie sterówki było przykładem doskonałej precyzji i skuteczności. Przed fotelami pilotów znajdowało się pięć ekranów skanujących. W fotelach siedzieli Lak-7 i Jan-4 – dwa wspaniałe umysły, które dowodziły statkiem.

Pierwsze dwa ekrany skanujące pokazywały niewiele więcej poza pustą przestrzenią. Na trzecim, widać było planetę, o wyraźnie zarysowanych konturach kontynentów i mórz. Obraz na czwartym, był nieco bardziej szczegółowy. Skanował on część jednego z kontynentów, pokazując nawet detale rosnących tam roślin.

Piąty, był w gruncie rzeczy ekranem teleskopu, skupionego dokładnie na Hampton Corners, miejscowości w Ohio, w Stanach Zjednoczonych, na półkuli zachodniej. Właśnie nadszedł tam czas bladego świtu i kanał audio wyraźnie transmitował gniewne narzekania Sama Adlera, który kierował miejscowym elewatorem zbożowym w Hampton Corners i musiał wcześnie wstawać. Sam wlókł się piaszczystą ulicą w stronę swojego miejsca pracy, całkowicie nieświadom tego, że ktoś go szpieguje.

— Jestem pewien, że oni są strasznie głupi — oznajmił Lak-7.

Jan-4 zerknął z rozdrażnieniem na swojego towarzysza.

— Zawsze tak mówisz.

— Ale, tym razem mam rację. Jestem pewien, że ich inteligencja okaże się, być bardzo nisko na krzywej poziomu jej rozwoju.

— Nie zgadzam się. Ta planeta rozwinęła tak ogromną bujność przyrody, aby marnować ją na umysły pozostające w stagnacji.

Lak-7 wzruszył ramionami.

— Wiemy przecież, że przyroda lubi być rozrzutna. Planety roją się w kosmosie jak szalone wyrzuty rybiej ikry, w nadziei, że jedna na dziesięć milionów przyniesie jakieś owoce.

— I ta planeta, przyniosła owoce.

— Tak, ale powtórzę – jej mieszkańcy są bardzo głupi. Nie przetrwają.

— Nie zgadzam się.

— Bardzo dobrze — odparł Lak-7. — Przypuszczam, że będę musiał przedstawić ci jakiś dowód.

— Niewątpliwie będziesz musiał.

Rano, następnego dnia, Sam Adler wstał nieco później niż zwykle. Zrobiło się już zupełnie jasno, kiedy wlókł się ulicą, szeroko ziewając. Kolejne ziewnięcie urwało się w połowie, ponieważ Sam ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na leżącą mu na drodze przeszkodę. Jakiś głupiec zgubił

kowadło. Musiało wylecieć ze skrzyni przejeżdżającej ulicą ciężarówki. No cóż, w porządku. Kowadło przyda się i jemu. Przyklęknął, aby przyjrzeć się dokładniej znalezisku.

Kowadło wyglądało dosyć zabawnie. Ośmiocalowy blok z czarnego metalu, idealnie symetryczny, z dwoma uchwytami wystającymi z obu stron; uchwyty miały kształt wygiętych do dołu krowich rogów – dobrze pasujących do chwytu. Sam przesunął swój obdarty kapelusz do tyłu i podrapał się po czole. Nigdy jeszcze nie widział takiego narzędzia. Może to wcale nie jest kowadło? Może to obrobiona część do jakiegoś rodzaju urządzenia, chociaż Sam nie był w stanie wyobrazić sobie urządzenia, do którego mogłaby ona pasować. No cóż, w taki czy inny sposób, na pewno mu się przyda. Będzie dobrą podpórką do drzwi, żeby się nie zamykały. Nachylił się i złapał za uchwyty.

Blok nawet nie drgnął.

Sam wyprostował się, nieco zaskoczony. Ciężkie to było, jak na tak niewielką rzecz. Splunął w dłonie i spróbował ponownie.

Blok nie poruszył się, nawet o ułamek cala.

Sam dał sobie spokój z ciągnięciem za kowadło i potarł palcem brew. Popatrzył w górę, a następnie wzdłuż ulicy, nie przejmując się tym, że ktoś mógłby zauważyć ten pokaz niemocy z jego strony. Z ponurą determinacją spróbował jeszcze raz, zatracając się w swojej pracy.

— Co tam masz, Sam?

Adler poderwał się raptownie i zobaczył, że koło niego stoi Nick Bleet. Nick szczerzył zęby i ciekawością przyglądał się metalowemu blokowi.

— Chyba jakieś narzędzie spadło z ciężarówki. Nie wygląda, jakby miało się do czegoś nadawać. Pomyślałem sobie, żeby zabrać to ze sobą do elewatora.

— Trochę ciężkie, co?

— Nie aż tak bardzo.

— Daj, pomogę ci z tym.

Dwóch mężczyzn, zapierając się z obu stron, ciągnęło, unosiło, popychało i chrząkało, aż w końcu kompletna konsternacja stała się głównym punktem dnia. Blok nie chciał nawet drgnąć.

Nick Bleet otarł pot z twarzy czerwoną chusteczką.

— Nigdy jeszcze nie widziałem tak opornego kawałka żelaza. Drugi koniec musi być zakopany w ziemi.

— Nie wydaje mi się. Po co ktoś miałby coś takiego robić?

— Mamy w naszym miasteczku kilku notorycznych żartownisiów. Zdaje się, że zostaliśmy wkręceni, Sam.

Ale żaden z notorycznych żartownisiów, nie pokazywał się. Pół godziny później oporny blok metalu stał się centrum zainteresowania w Hampton Corners. Cała populacja miasteczka, w liczbie pięćdziesięciu ludzi, kłębiła się wokół niego na ulicy, a każdy z mieszkańców chciał spróbować go podnieść. Joe Wheeler wściekł się na uparty przedmiot – kopnął go, a następnie usiadł w piachu, aby opatrzyć sobie złamany palec u nogi. W

zebranym tłumie, było kilka nadwyrężonych pleców, spora dawka ogromnego zdziwienia i parę bardzo rozgrzanych temperamentów.

Sam Adler w końcu poszedł do elewatora i wrócił z łopatą. Tłum odsunął się do tyłu, a Sam zabrał się do roboty. Pracował, aż do chwili, kiedy blok był cały podkopany, opierając się dosłownie na włosek, na krawędzi niewielkiej przepaści.

— Nie ma tam żadnej części, która byłaby zakopana — oznajmił Sam. — Widzicie? Mogę swobodnie przesunąć pod tym łopatą.

Jeden z mieszkańców miasteczka próbował odwołać się do logiki.

— Czemu więc nie spada do dziury?

Powód może był niejasny, ale fakt uderzająco oczywisty. Sam odrzucił łopatą resztę ziemi spod spodu, ale blok ciągle się nie poruszył. Twardo pozostawał w tym samym miejscu, nawet po wyciągnięciu całej podpory. Pięćdziesiąt par oczu wpatrywało się w zadziwieniu na ten mały blok metalu, który pewnie spoczywał na poziomie drogi, nie mając pod sobą nic, poza świeżo wykopanym dołem.

— Wygląda na to, że mamy tutaj coś dziwnego — zauważył Nick Bleet głosem tylko odrobinę głośniejszym od szeptu.

To akurat, każdy był skłonny przyznać – tylko co? Obywatele Hampton Corner ostrożnie otoczyli blok. Przykucali, przyklękali, nachylali się aby lepiej przyjrzeć się znalezionej rzeczy, oglądać ją i badać z każdego możliwego kąta. Większość z nich nie potrafiła wymyślić nic ciekawego do powiedzenia.

— Ta przeklęta rzecz musi się dać poruszyć — powiedział Sam Adler.

— To pewne jak amen w pacierzu — zgodził się Nick Bleet. — A więc ruszmy ją.

Znów zaczęli ciągnąć metalowy blok, tym razem wspólnie. Nie mieli jakiejś wielkiej nadziei na sukces, ale chcieli się upewnić. W końcu się poddali, a Nick stanął obiema stopami na górnej powierzchni i stał tak, balansując. Równie dobrze mógłby stać na szczycie stalowej belki, wbitej na czterdzieści stóp w litą skałę. Blok nie drgnął nawet o tysięczną milimetra.

— Weźmy moją ciężarówkę — ponuro postanowił Sam.

Cofnęli ciężarówką Sama Adlera, podjeżdżając tyłem do bloku. Obwiązali wokół opornej przeszkody, stalową linę – zawiązali ją dwukrotnie, na krzyż, tak by metalowy blok nie mógł wyślizgnąć się z pętli – a potem oba końce liny przymocowali do osi ciężarówki. Sam usiadł za kierownicą i wrzucił pierwszy bieg.

Ciężarówka zahuczała i jęknęła. Lina naprężyła się z trzaskiem. Sam nacisnął na pedał gazu i koła ciężarówki wyrzuciły spod siebie chmury piachu i pyłu, obracając się w daremnym wysiłku. W końcu lina pękła i ciężarówka szarpnęła się naprzód.

— Taaa, z pewnością mamy tutaj coś dziwnego — powtórzył wystraszonym głosem Nick Bleet.

Dorośli odeszli na chwilę, aby się trochę naradzić, podczas gdy w dzieciach z Hampton Corners wezbrała śmiałość. Wskakiwały i zeskakiwały z bloku, wydając z siebie cienkie piski przyjemności. Dzieciak Sama Adlera, po wskoczeniu na blok i zeskoczeniu z niego, odwrócił głowę i popatrzył na niego z pogardą.

— Założyłbym się, że ta wielka koparka ze żwirowni, podniosłaby bez trudu ten kawałeczek żelastwa.

To był pomysł. Posłali po wielką, potężną mechaniczną koparkę, do położonej trzy mile dalej żwirowni. Zajęło to trochę czasu i do tej pory zrobiło się już południe, większość ludzi więc udała się pośpiesznie na szybki lunch, tak żeby na pewno mogli być w pobliżu, kiedy przybędzie koparka.

Koparką przyjechał do miasta Mack Lormer. Kiedy znalazł się już na miejscu, zszedł z fotela i przeprowadził dokładny przegląd sytuacji.

— Żeby podsunąć się pod to żelastwo, będę musiał zniszczyć kawałek drogi — zauważył.

— Proszę bardzo — odparł mu Sam Adler. — Możemy potem drogę załatać. No dalej. Podnieś ten przeklęty kawałek żelaza.

Mack Lormer uklęknął i dokładnie obejrzał metalowy blok.

— Wiecie – Nie wydaje mi się, żeby to było żelazo, stal, czy jakiś inny znany mi metal.

— Mniejsza z tym. Podnieś to.

Mack usiadł z powrotem w fotelu, za urządzeniami sterującymi koparką i w czasie gdy wszystkie dzieci zostały przegnane na większą odległość, obrócił wysięgnik koparki do tyłu i ustawił najeżoną wielkimi zębiskami łyżkę we właściwym miejscu.

Zęby wbiły się w piaszczystą drogę, jak trzymana w ręku łyżeczka w kostkę ciepłego masła. Ziemia została wypchnięta do góry, całkowicie przykrywając metalowy blok, i wkrótce znalazł się on dokładnie w środku mechanicznej łyżki.

Cała moc ogromnej stalowej maszyny została skierowana na to by podźwignąć blok metalu, ale wysięgnik natychmiast działać zaczął w odwrotny sposób. Łyżka przestała się unosić, tuż po tym kiedy zaczęła to robić i tylne części gąsienic pojazdu poczęły podnosić się ponad powierzchnię drogi. Traktorowe podwozie wysięgnika stanęło dęba pod kątem czterdziestu pięciu stopni i Mack Lormer, z pobladłą twarzą, pośpiesznie wykonał odwrotne operacje aż gąsienice opadły z powrotem na ziemię.

— No, no. Niech mnie diabli — złapał oddech Sam Adler.

— Mnie również — odparł Nick Bleet.

Mack Lormer zsiadł ogłupiały ze swego fotela.

— To musi być coś nie w porządku z wysięgnikiem. Spróbuję jeszcze raz.

— Strata czasu — stwierdził Sam. — Weź koparkę i odprowadź ją z powrotem.

Odkopali blok metalu i wypełnili ziemią dziurę w drodze. Przedmiot pewnie spoczywał na swoim miejscu.

— Może lepiej będzie kogoś tutaj wezwać? — zaproponował Nick Bleet.

— Kogo?

— Cóż, zdaje się, że rząd mógłby być bardzo zainteresowany tym niewielkim kawałkiem żelaza… naprawdę bardzo zainteresowany.

— Mam inny pomysł – przynajmniej na początek.

— Na czym on polega?

— Wydaje mi się, że powinniśmy zwołać zebranie rady miasteczka.

— Po co?

Sam Adler zaczynał robić się czerwony na twarzy.

— Człowieku, dlatego że w tym czymś tkwi kupa forsy! Całe mnóstwo! Pomimo wszystko, to należy do nas. To nasze miasto i to my mamy prawo, ciągnąć z tego zyski. Przypominasz sobie, jak znaleźli ropę na podwórzu kościoła, tam w Kentucky? Kongregacja stała się bogata.

— Ale to nie jest ropa. To tylko przeklęty, oporny kawał żelaza.

Sam obrzucił na przyjaciela wzrokiem pełnym litości.

— Nick, czy widziałeś kiedyś kowadło, którego nie dałoby się poruszyć? Metalowy blok, który wisi w powietrzu i raczej zerwie stalowe liny przywiązane do dziesięciotonowej ciężarówki, niż przesunie się choćby o milimetr?

— Przyznaję, że nie widziałem.

— Właśnie. Nikt inny też nie widział. To większe wydarzenie niż pięcioraczki Dionne. To rozejdzie się po całym świecie! Zabijemy tę cholerną rzecz deskami i będziemy brać dziesięciocentówkę od każdego, kto będzie chciał ją obejrzeć.

Nick Bleet złapał pomysł.

— No pewnie! Cholera, masz rację. To coś tysiąc razy większego niż pięcioraczki. Dziesięć centów, niech mnie diabli! Będziemy żądać całego dolca. A jeszcze będą różne boki. Te tłumy ludzi będą musiały coś jeść. Do tego pamiątki.

— Zgadza się. Tylko musimy działać szybko. Rząd będzie chciał nam zabrać ten mały metalowy blok – nie oszukujmy się.

— I co z tego? Rząd nie zabierze nam tego siłą. To nasze. My to znaleźliśmy. Chyba żyjemy w wolnym kraju?

— A więc, musimy uważać na hieny – pięknie gadających gości. Będą tu się kręcić wokół nas, żeby nas z tego wyślizgać.

Nick wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— No i co, wezmą wiadro, i zabiorą ten kawałek żelaza ze sobą?

Sam zarechotał i klepnął przyjaciela przez plecy.

— To było dobre. Zwołajmy zebranie na dzisiejszy wieczór i omówmy wszystko z radą miejską. Nick, mówię ci, będziemy bogaci. Bogaci jak sam Krezus.

Tego dnia nikt w Hampton Corners nie pracował. Wieczór zmienił się w święto, z duchem wakacji przepełniającym atmosferę miasteczka. Wieści

na temat możliwości zarobienia pieniędzy na metalowym bloku, rozeszły się już szeroko, i wszędzie było pełno śmiechu oraz szczęścia.

Dzieci też tym wszystkim bardzo się cieszyły. Bawiły się wokół tego dziwnego, niemożliwego do poruszenia, rogatego przedmiotu – wskakując i zeskakując z niego – pociągając go z całych swoich niewielkich sił, aż w końcu zostały posłane do łóżek.

W nocy spotkała się rada miejska. To było najbardziej ekscytujące jej zebranie, jakie kiedykolwiek się odbyło. Snuto bogate plany. Sam Adler został wybrany Dyrektorem Marketingowym.

Późno w nocy, kiedy Hampton Corners już spało, Lak-7 wysłał członka załogi na dół, żeby zabrał metalowy blok. Marynarz przyniósł go z powrotem na statek i wrzucił do skrzynki z narzędziami w maszynowni. Zameldował powrót dwóm dowódcom, siedzącym w fotelach pilotów i wrócił do swojej roboty.

Kiedy wyszedł, Lak-7 cieszył się miłą chwilą sukcesu.

— I co ci mówiłem? Głupcy. Po prostu kretyni.

— Nigdy bym w to wszystko nie uwierzył — ze smutkiem stwierdził Jan-4.

KONIEC